

MARYA SEGENY.

# OTCHŁAŃ

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

7

Kiedy nadchodziła nowa era jego erotycznych poszukiwań, Wanke umiał się stać tak marzycielskim, takim uroczym pazurem trubadurem, wysilającym się na zasłużenie łask wybranej kobiety, że często bardzo sam tę artystycznie odegraną rolę brał za prawdę.

Lecz cały ten nastrój, cała ta atmosfera miłosna, którą sam się upajał i w którą wprowadzał drugą, zteroryzowaną jego uwodzicielską siłą istotę — upadał szybko, kiedy pierwszy przedsmak przesytu dofrknął czujne jego nerwy i krytykę.

Dzięki tym nieobliczalnym wybrykom natury, której nawet ścisły rozum i ostrożność kupiecka ujarzmić nie mogły, Wanke naraził się opinii niejednokrotnie. Mówiono po cichu, bo zanadto wielkim potentatem finansowym był on w mieście, aby pozwalano sobie na głośne uwagi i zarzuty, że nie jedno życie ludzkie zatraczone zupełnie, lub też wykołejone miał on na sumieniu.

Głośniejsze krzywdy i skargi, grożące skandalem, szczególnie te, których terenem były pracownie firmy — uspokajała kasa starego Wankego, do której syn jego jako już współwłaściciel bezwzględnie miał prawo.

Dochodziło też pomiędzy nimi obydwoma do przykrych i głośniejszych scen, których echo podchwycone ciekawym uchem kogoś z współpracowników rozchodziło się po mieście — lecz ostrożność, a zresztą bezcelowość jakiegokolwiek interwencji — nakazywała milczenie dyskretne.

Obecnie wszystkie myśli Wankego wypełniał obraz niedawno poznanej Marty.

Od pierwszego ujrzenia jej w pracowni zainteresował się nią silnie, a ciche, spokojne zachowanie się dziewczyny, jej młodość i prostota, pełna szczerego, nieświadomego wdzięku, tak szarpnęły jego łulaczą nigdy nie zaspokojoną tęsknotę, że zapragnął gorąco zbliżyć się do niej i przemożną siłą tego ubezwładniającego uroku, którym tak umiał ofaczać wybrane przez siebie kobiety — zmusić do poddania mu się.

A właśnie w tym czasie nieznośnie ciężcył mu zaczął, zawiązany niedawno stosunek z głośną i dosyć kosztowną Luną Sokolicz, do której zbliżył się pociągnięty pozornym jej perversyjnym temperamentem, który okazał się wkrótce tylko ładnie podaną sztuką i kaprysem światowej zanadto wybujałej na kulturze buduarowej artystki. Znudzony już do ostateczności i podrażniony poznaniem Marty, Wanke, postanowił więc zerwać tamten stosunek i w tym celu przystąpił do napisania nieprzyjemnego bardzo listu do dawnej przyjaciółki, w którym zawiadamiał ją o swoich zamiarach.

Był nawet pewnym, że nie ominie go pomimo tego listu niemila z nią scena i, że ona sama zjawi się tu, w malinowej sali, do której dość często dotąd razem przychodzili. Uzbroidł się więc w cierpliwość i czekał, chcąc raz na zawsze przykra tę sytuację zakończyć.

I nie omylił się.

Zaszeleścił delikatnym szmerem, wiołki jedwab sukni kobiecej, buchnęła fala ciężkich dusznych perfum i przy stoliku, smukła, wytworna w ruchach i linii stanęła pani Luna.

Przepyszne futro fantastycznym krojem poszerzające ramiona, zwężającym pólłukiem owijało szczerze zgrabne nogi, uwydatniając nieskazitelną zakrój rasowej tydki. Błyszcząca lakierowana skóra, obejmowała wąskie, małe stopy.

— Jak się masz, Lon — zadzwieczył pozornie wesoły, niefrasobliwy głos.

— Ah! to ty!

— Nie spodziewałeś się mnie?

— Przeciwnie. Byłem pewnym, że tu przyjdiesz — z grzecznym półłuknem uniósł się Wanke, wskazując ręką, miękką, aksamitną kanapkę, na której siedział.

— Znam cię aż nadto dobrze — dodał ze znużonym uśmiechem. — Nie mogłabyś przecież sobie odmówić odegrania najefektowniejszej sceny ostatniego aktu — nieprawdaż?

Z pod oryginalnie opuszczonego skrzydła kapelusza, wyrzało baczne, obserwujące spoj-

zenie, delikatnie podcieniowanych oczu i krótką chwilę spoczęło na niewzruszonej, matowej twarzy mężczyzny.

Zadzwoniły niecierpliwie targnięte breloki u złotej branzolety i głos pani Luny zadzwieczył napół ironiczny, napół niespokojny.

— Cóż to, zrywasz? Co znaczy twój list?

— Nic tak bardzo ważnego... sprzykrzyła mi się...

— Ja?

— Nie — chwila... to tak naturalne...

— Uważasz? Jestem trochę innego zdania.

— Wszystko w życiu kończy się... znasz mnie... nie jestem stworzony do przymusu — nuda zabija pomału pozornie najtrwalsze uczucia i przyzwyczajenia...

— Nie mówiłeś tego, zbliżając się do mnie...

— Ah, Luno, nie bądź sentymentalną — skrzywił się z niesmakiem Wanke. — Czy człowiek odpowiadać może za jutro... za nową chwilę w przyszłości?

— Chwilę wskrzesić można — przedłużyć, przytrzymać — siliła się jeszcze na spokój pani Luna, choć wykarminowane jej usta drżały hamowaniem oburzeniem.

— Wskrzesić? Przedłużyć? — uśmiechnął się Wanke ironicznie. — Dziękuję bardzo! Nie czuję apetytu do odgrzewanej, chociażby najlepszej potrawy.

— Lon, jesteś cyniczny! — wybuchnęła pani Luna.

— To tylko optyczne złudzenie, moja droga. W tej chwili jestem sobą i jestem szczerzy.

W chaos panujący na sali wpadły teraz nagle donośne tony muzyki. Namiętne, gorące dźwięki egzotycznej jakiejś melodyi zadrgały bolesnym, przyzywającym jękiem, budząc wspomnienia upalnych, jasnych nocy podzwrotnikowych, dyszących wiecznym pragnieniem obezwładniającej bezwzględnej rozkoszy.

Zadrgały lekko nozdrza Wankego, jak gdyby nagle wyczuł w koło siebie narkotyczny, upajający zapach rozbujałych kwiatów, zmieszany z drażniącym zapachem ciał kobiecych, pulsujących żywym tętnem krwi wzburzonej.

Szare jego oczy przysłoniła lekka mgła upojenia.

Z miłosnego nastroju, w którym pograżyły się wysubtelnione jego zmysły, zbudził go głos pani Luny.

Cichym, zduszonym, jak gdyby przez wzruszenie szeptem płynęły słowa z jej ust.

— Przechodziłam niegdyś drogą twojego życia... obca, nieznana... obojętna. Kazałeś mi stanąć... Byłam posłuszna twojemu egoizmowi. I oto wplotłeś mnie przemocą w krąg swojego wędrownego życia... nazwałeś chwilą... momentem i oto teraz...

Wybuch śmiechu przerwał jej słowa.

— Z jakiegoż skandynawskiego dramatu wyciągnęłaś tę wspaniałą „stimmugową“ tyradę, moja kochana. Dajże spokój! To dobre na scenę. Zanadto się nią przejmujesz jak widz i nie czujesz, że ośmieszasz się fatalnie. Nie do twarzy ci z tym Luno, wierz mi. A zresztą — dodał Wanke, poizewając lekko — czy nie widzisz, że mnie tym ckliwo-histerycznym napadem, nudzić na dobre zaczynasz?

— Świeżego żeru dla twoich postrzępionych użyciem nerwów potrzeba — zachnęła się zirytowana.

— Przypuśćmy. Nad tem, co się kończy niema się co rozkładać i niczemu co żyć zaczyna tamować drogi nie można. Jesteśmy niewolnikami przeznaczenia.

— A przeznaczenie twoje na jutro — to Marta — ta głupia... prowincjonalna geś, bufetowa piękność, fryzyerska lalka — wybuchnęła ordynarną zazdrością pani Luna, wypadając z roli wystudyowanej poprzednio.

— Oh! to mi się podoba! Taką cię wolę, bo przemawia przez ciebie typowa kobieca ambicyjka i zazdrość.

— Zazdrość — zaśmiała się nieszczerze pani Luna — o takiego pajaca jak ty! Żałuję tylko, że zmarnowałam przy tobie tyle długich miesięcy — bo jeżeli po mnie... może być taka dziewczyna...

— Taka — czy nie taka — zawsze będzie inna, rozumiesz? Ona ma w sobie młodość i szczerłość... a ty, wybac, chere amie... chwilami tylko ładnie wyczelowaną sztukę. Bo, wiesz, właściwie, nie wiem o co ci chodzi? Przecież nie nigdy, ani przez sekundę nie kochałaś?

— Skąd wiedzieć o tem możesz? — ożywiła

się nagle przyjemnie pani Luna, widząc w tem zapytaniu nowe pole do sentymentalnego popisu. — Tak?... skąd? Czy wy się nas o to pytacie? Kiedy zmysły wasze, którą z nas poruszy, zatapiacie się w nich bez pamięci i nic więcej ponad to was nie obchodzi — a że tam dusza której zadrga boleśnie, że pragnienie miłości...

— Ah! fi donci! Znowu zaczynasz kwilić sentymentalnie — wzruszył ramionami Wanke. — Nie chciejże mnie brać na to! Myślałem, żeś subtelniejsza, belle amie.

— Lon, zastanów się... przypomnij... — przytuliła się miękkim ruchem do jego ramienia pani Luna, patrząc kusząco w oczy. — Wspomnienia cię otoczą... wspomnienia tych naszych uroczych rozkosznych chwil... Przyjść może godzina żalu...

— Niema żalu po chwilach, które ulatają jak mgła — po przeżyciu — wymówił trochę szorsko Wanke, odsuwając się w głąb kanapki. — Przestań Luno, przestań — zupełnie bezcelowo przedłużamy tę rozmowę. Bo widzisz, zapomniałem ci powiedzieć, a powinienem to być nawet w liście zaznaczyć — że pomimo wszystko, nie cofam danych dawnych przyrzeczeń — rozumiesz? To chyba bardzo upraszcza sytuację dla ciebie.

— Jakto? — zamieniła się cała w słuch pani Luna, a oczy jej zabłysły radosną nadzieją.

— Będiesz mogła dalej korzystać z kostymów i sukien potrzebnych ci na scenę. Zdaje się, że to załatodzi tę miłość twoją zapoznaną przeze mnie — zaśmiał się drwiąco Wanke. — Nie chcę ci od razu za wiele zabierać. I miłość moja... i portfel — to za wielka by była strata dla ciebie...

Pani Luna chwilę milczała.

Różnorodne myśli i uczucia odzwierciedlały się na jej wyrazistej twarzy.

Należało może zagrać jeszcze raz komedię?

Przejąć się na chwilę rolą nieszczęśliwej kochanki, odrzucającej ze szlachetnym oburzeniem materialną pomoc niewdzięcznego kochanka?

Ale świadomość, że właściwie nic nie traci na zerwaniu z Wankem, była tak nieoczekiwana i radosna, że po chwili wahania uznała za stosowne rozplywać się w uniesieniach wdzięczności naprawdę tym razem szczerzej.

— Lon! Jesteś kochany, złoty chłopiec — zawołała wesoło, przytulając się do niego całym ciałem. — Dlaczego mi tego odrazu nie powiedziałeś, szkaradny łobuzie. Więc przecież lubisz swoją Lunę, co? Kiedy chcesz, żeby zawsze ładnie wyglądała i zawracała wszystkim głowę. No, bo pomyśl — co ja bym robiła bez tych tualet. I publiczność i dyrektor do nich się przyzwyczaili. A te pindy tam, za kulisami, dalej trzaskać będą z zazdrości! Wiesz, przynam ci się, że najwięcej mi o to chodziło! Nie! tego bym naprawdę strawić nie mogła — wypadła coraz więcej z wytwornego tonu pani Luna, uspokojona już i zadowolona. — Już małpizony zaczęły wczoraj gadać za kulisami i dogryzać mi. A tak, teraz będą musiały buzię zamknąć i honorować mnie jak dawniej.

— Ciszej, Luna, ciszej — mitygował ją Wanke zadowolony również z obrotu sprawy. — Zaczynają nam się przyglądać.

— A niech tam! Wszystko mi jedno! Uf! a to mi ciężar spadł z piersi. Wiesz, chciałam tej twojej nowej flami iść oczy wydrapać! Ale teraz będę wspaniałomyślna! Zabaw się z nią kołku, zabaw! I tak wiem, że do mnie wrócisz, zażęsknisz... Po kartoflach ze słoniną, chętnie znowu skosztujesz deseru — zaśmiała się łobuzersko, strzelając do niego oczami. — Nie boję się takiej rywalki! Ale, czekajno Lon, na moich piątkowych przyłęczach musisz się dalej pokazywać. Nie chcę, żeby trąbili po całej Warszawie, że mnie rzuciłeś — pamiętaj.

— Tak — mogę przyjść na chwilę — zgodził się chętnie Wanke — ale wiedz Luno i zastosuj się do tego, proszę cię, niczego więcej odemnie żądać nie możesz. Pozostaniemy przyjaciółmi, bardzo correct, nic więcej.

— Ależ, dobrze, dobrze — nadąsała się sztucznie, prawie obrażona. — Doskonale się wszystko składa... wiesz, ten kupiec z Łodzi... bardzo wygodny... raz na tydzień tylko przyjeżdżać chce.

(Ciąg dalszy nastąpi.)